

WYDAWNICTWA ROK XVIII

PLOMYK

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



Mal. Wlastimil Hofman.

PASTUSZEK.

WARSZAWA, ŚRODA 9 MAJA 1934 R.

N° 36

K I N O.

Z żalem stwierdzam, że w tym sezonie mało jest filmów odpowiednich dla naszych czytelników, jednakże ostatnio znalazło się też coś dla Was, więc zaraz śpieszę podzielić się z Wami tą wiadomością. A więc, przedewszystkiem „Demon złota”. Kto lubi powieści awanturniczo - podróżnicze, rozgrywające się na morzu i... pod wodą, na pewno mu się ten film spodoba. Jest to walka o złoto, które w r. 1917 wraz z niemiecką łodzią podwodną, zatopioną przez okręt angielski, poszło na dno. Kapitan łodzi podwodnej, który się uratował i pod zmienionem nazwiskiem mieszka w Ameryce, czeka na okazję wydobycia skarbu, ale nie chce wtajemniczać w to wielu osób. Okazja nadarza się: po 15 latach zostaje kapitanem statku, udającego się na te same wody w celu badania głębin morskich — i przy pomocy zaufanego nurka odnajduje skarb, ale ponieważ jest „czarnym charakterem”, ginie marnie.

A co się dzieje ze skarbem? Tego nie powiem, bo nie bylibyście już ciekawi. Ale za to powiem Wam, że są w tym filmie rzeczy, które nie często widuje się nawet w kinie i które głównie stanowią o jego wartości. Są to cudowne zdjęcia dna morskiego, jego flory i fauny, dokonane z dzwonu, w którym zamknięty jest operator filmowy. Są sceny bardzo dramatyczne, gdy olbrzymi głowonóg przerywa łańcuch, na którym zawieszony jest dzwon, walka nurka z owym głowonogiem, słowem — rzeczy niezwykle można obejrzyć „na własne oczy” i podziwiać technikę, umożliwiającą podobne zdjęcia.

Drugim filmem ciekawym jest „S. O. S. góra lodowa”. Wspominałam nieraz na tem miejscu o ekspedycjach naukowych, które zabierają operatora filmowego, ażeby wyniki takiej wyprawy utrwalali na taśmie. W „S. O. S.” dzieje się odwrotnie: wyprawa, którą zorganizowała jedna z wytwórni amerykańskich, nie miała żadnych celów naukowych: „wymyślono” scenariusz, jak każdy inny, a ponieważ akcja rozgrywa się na dalekiej Północy, więc chcąc, ażeby w filmie tym wszystko było prawdziwe, reżyser i aktorzy wyjechali do Grenlandji i tam dokonali zdjęć. Zdjęcia więc są prawdziwe, tylko cała historia jest wymyślona.

Ale choć to, co widzieliśmy w filmie „S. O. S.”, jest naumyślnie zainscenizowane, to jednak wobec tego, że rozgrywa się na tle prawdziwym, daje nam dostateczne pojęcie o pięknie i grozie północnej natury i niebezpieczeństwach, czyhających tam na człowieka. Zwrócić należy uwagę na przepiękne fotografie zjawisk przyrody, nigdy jeszcze nie utrwalanych na taśmie filmowej, jak naprz. narodziny i śmierć góry lodowej. Jak pięknie wygląda samolot, krążący nad czarną wodą, z której wyrastają góry lodowe, albo — flotylla łodzi eskimosów, śpieszących na ratunek!

Choć wyprawa filmowa nie miała innych celów, prócz nakręcania filmu, wszyscy biorący w niej udział (artyści i technicy) musieli przesiedzieć na dalekiej Północy wiele miesięcy i znieść wiele niewygód, ażeby „upolować” do swego filmu wszystko to, co chcieli w nim pokazać.

St. H.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ.

Z Nr. 22. Krzyżówki sylabowej: samowar, kotara, gitara, nawa, buta, liga, fotel, doza, kapa, kolasa, Tamiza, lawenda, Sabina, kara, Dorota, koza, waliza, wargi, tama, bela, sala, parada, robota; wirówki historycznej: 1) Traugutt, 2) Sobieski, 3) Napoleon, 4) Grunwald, 5) Jagiełło; szarady 1: sikora; szarady 2: u-le-wa.

Z Nr. 23. Zadania „W ogrodzie”: odległości są jednakowe; „Punkt przecięcia”: w punkcie C; „Gdzie środek”: kreska znajduje się pośrodku wysokości trójkąta; „Jakie boki ma ten trójkąt”: proste, nie wygięte.

Z Nr. 26. Dwa statki — mają jednakowej długości pokłady; słupki — wszystkie są równe; szarady: baobab; zagadki: kawa; składanki: pierzyna.

Z Nr. 27. Samoloty: 1) na prawym obrazku najbliższy (samolot) do prawego dolnego rogu rysunku, 2) na lewym obrazku najbliższy (samolot) do prawego dolnego rogu rysunku, 3) pilot, który jest na jednoplacie, widzi resztę samolotów po lewej ręce, a pilot, prowadzący dwupłatowiec, po prawej; magicznej figury: paka, arab, kałuża, akurat, żaba, atak; składanki: skorupa; pytania-żarciki: 1) grzebień, 2) na wieżę w szachach, 3) mróz, 4) księżyc.

płomyk



TYGODNIK + ILUSTROWANY
DLA + DZIECI + I + MŁODZIEŻY

„PŁOMYK” NA SZEROKIM ŚWIECIE.

Kto przegląda w „Płomyku” dział „Listy od Redakcji”, ten widzi, że „Płomyk” rozchodzi się po całej Polsce, dociera prawie do każdej szkoły, a nawet trafia do dzieci polskich, mieszkających na obczyźnie. W ciągu osiemnastu lat swego istnienia „Płomyk” rozwinął się, interesuje się wszystkim, co się dzieje w świecie, zdobył piękne szaty. Czas już był w świat go wyprawić i ludziom obcym zaprezentować. Powędrowały więc najpiękniejsze numery „Płomyka” do wszystkich bez wyjątku krajów Europy, a potem i do wielu państw w pozostałych częściach świata.

Wzamian nadeszły pisma dziecięce w dwudziestu zgórą językach, ale rzadko które z nich wyglądem swym równało się z „Płomykiem”.

Z Albanji, Peru i Ekwadoru odpowiedziano, że tam nie wychodzą pisma dla dzieci.

Jak przyjęto „Płomyk” zagranicą?

Włoszka pisze: „Płomyk” i „Płomyczek” bardzo mi się podobały i bardzo mnie interesują. Nie mamy podobnych pism. Gdy będę w Padwie, wyślę Wam kilka naszych”.

Nauczyciel z Holandji oznajmia: „Drukuje się u nas wiele książek dla dzieci, wychodzi również pismo, ale nie tak wspaniałe, jak Wasze. Winszuję Waszym uczniom, że mają tak piękne pisma”.

Redaktor bułgarskiego pisma „Spirtomrazec” prosił o stałe nadsyłanie „Płomyka”, a nauczyciel opisał „Płomyk” w bułgarskim piśmie nauczycielskiem.

Nauczyciel Turek Hasan Ismail z Kirdżali (Bułgaria) zwiedził Kraków, Warszawę i wziął się do nauki języka polskiego. W swoim liście odzywa się taką polszczyzną: „Ja otrzymałem Wasz list i gazetę. Ja tę czytam od rana do wieczora, ale jeszcze nie przeczytałem całej gazety. Bardzo lubię czytać i pisać po polsku, ale jest trudny polski język”.

Nauczyciele Valasztan z miasta Turczański Święty Marcin (Słowacja) i Neuzil z Ołomuńca (Czechy) odczytali „Płomyk” swym uczniom, a ci byli zadowoleni, iż prawie wszystko zrozumieli.

Do szkoły w Westerham (Anglja) przybył inspektor na wizytację, zobaczył świeży numer „Płomyka”, oglądał go i wyraził się o piśmie pochlebnie, a nauczyciela pochwalił za to, że utrzymuje stosunki z innymi krajami.



P. Aino Hoiva, redaktorka „Koitto”, przeciwalkoholowego pisma dla dzieci w Helsinky (Finlandja), poznała „Płomyk” i prenumeruje go od kilku lat, chociaż nie rozumie ani słowa po polsku. Kilka pięknych obrazków z „Płomyka” redaktorka zamieściła w swem piśmie „Koitto”.

Niektórzy czytelnicy pewno się domyślają, że numery „Płomyka” wysyłał polski esperantysta do zagranicznych esperantystów. Wszystkie tytuły i objaśnienia obrazków były tłumaczone na język esperanto. Cudzoziemcy, z wyjątkiem Turka, odpowiadali również w tym języku.

W b. roku szkolnym duże zainteresowanie obudził dział „Uczenie się języka esperanto!” Wiadomość o tych lekcjach ukazała się w pismach esperanckich w Kolonji i Hadze. Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się, że podobny kurs istnieje w pismach dla dzieci w Czechach, Słowacji, Francji i Norwegji.

B. Gluchowski.

ROZBITKOWIE Z „CZELUSKINA”.

Spójrzcie na mapę Azji. Zobaczycie wielką na północy przestrzeń zieloną — to obszar wielkich tundr. Przecinają ją ogromne rzeki, dążące na północ i niknące w wielkiej niebieskiej plamie, na której odczytacie napis „Ocean Lodowaty Północny”. A więc ogromny obszar wód? Może nawet sobie wyobrażacie, jak błękitne fale swobodnie wpadają na piaszczysty brzeg, hen, w wielkiej dali łącząc się na widnokręgu z błękitem nieba? Nie, w tych okolicach rzadko kiedy oko widzi inną barwę, niż białą i szarą. Przemarzły brzeg prawie zawsze pokrywają lody i śniegi.

A jednak wzdłuż brzegów Azji, poprzez te odstrasające lodowisko można przepłynąć. Dokonali tego śmiali podróżnicy dopiero dwa razy: Szwed Nordenskjöld (czytaj — Nordenszeld) i ostatnio statek rosyjski „Czeluskin”.

Wiecie, że istnieją tak zwane łamacze lodów: mocno zbudowane okręty, z odpowiednio opancerzonymi dziobami, które swym ciężarem kruszą potężne płyty lodowe, choćby bardzo grube, i dzięki temu przedostają się przez zamknięte morza. „Czeluskin” nie był takim łamaczem lodów. Właśnie chodziło o to, by dowieść, że i zwykły okręt, zaledwie opancerzony nieco na dziobie, może się przedostać przez ocean wzdłuż północnych brzegów Azji. Kierownikiem ekspedycji został profesor Schmidt, uczony, znający dobrze te niegościnne okolice.

Istotnie „Czeluskin” przedostał się tą bezludną drogą i w lutym bieżącego roku dotarł już w okolice zatoki Beringa, oddzielającej Azję od Ameryki.

Cała podróż nie była łatwa, tu jednak najmocniej pochwyciły „Czeluskina” lody i kry. Przed statkiem narastały coraz to potężniejsze zwaly lodów, ocierały się o jego boki. Nie mógł się wkońcu posuwać zgodnie z wolą człowieka, oddany w moc ruchomych pól i gór lodowych, które z każdym dniem napierały coraz silniej.

13 lutego nastąpiła katastrofa.

W nocy profesor Schmidt i kapitan okrętu Woronicz z wielką troską z mostku kapitańskiego usiłowali wzrokiem przebić gęstą zaslonę mgły, w której czyhało lodowe niebezpieczeństwo. Słyszeli łoskot i chrzęst trących się brył lodu. Wiedzieli, że mają przed sobą wielki mur gór lodowych, złączonych w nieprzebytą barjerę. Mijały godziny w oczekiwaniu. Dopiero w południe lody przypuściły straszny atak. Wielkie bryły tłoczyły się na okręt, piętrzyły się koło niego. Statek obrócony dziobem do napływających wałów lodowych, walczył ustawicznie. Drżał od uderzeń, stalowym dziobem usiłował ciąć coraz to nowe zastępy kry. Nacisk jednak lodu wzrastał się coraz bardziej.

W pewnej chwili kapitan usłyszał trzask: to lód rozdarł grubą blachę sta-



„CZELUSKIN” WSRÓD LODÓW.

lową na dziobie, niby papier. Stało się jasne, że okręt nie wytrzyma naporu i zostanie zgnieciony.

Cała załoga okrętu — sto osób — miała zawczasu dokładnie wyznaczone zadanie. Wydane rozkazy zastały każdego na swoim posterunku. Mechanik Pogosow zameldował, że lód potworzył wyrwy w boku okrętu i zalewa wnętrze. Woda wdarła się do hali maszyn i wysadziła kocioł. Na szczęście wyrwa, zrobiona przez lód, była tak duża, że cała para uciekła i „Czeluskin” nie został narażony na groźny wybuch.

Prof. Schmidt wydał rozkaz: „Wszyscy na lód!”

W przeciągu krótkiego czasu, niezwykle sprawnie, bez żadnego zamieszania z okrętu na pole lodowe, zamykające okręt, wyniesiono zapasy żywności, co najpotrzebniejsze sprzęty, worki futrzane do spania, namioty, deski. Tymczasem dziób okrętu pochylał się coraz bardziej. Lotnik Babuszkin z niepokojem patrzył, czy będzie dość czasu na uratowanie niewielkiego samolotu, któremu groziło zagrożenie się w lodowatej wodzie razem z zanurzającym się coraz głębiej dziobem.

15 ludzi rozpoczęło zapomocą dźwigów wyładowywanie samolotu.

Woda zalewała już mostek kapitański, na którym stał prof. Schmidt i kapitan Woronicz. W pewnej chwili zaczęły się walić maszty. Zarządca statku Moguljewicz został uderzony odłamkiem drzewa w głowę. Stoczył się na pokład, zalany już wodą. Statek tonął. Zaciskający się lód widocznie czynił nowe wyrwy w jego bokach i woda wdzierła się coraz obficie. Prof. Schmidt, który właśnie szykował się do wyskoczenia na lód, zawahał się chwilę. W tej samej chwili statek przechylił się jeszcze bardziej. Nad pole lodowe wzniosł się wysoko tył statku, błysnąwszy nieruchomymi śrubami. Nieszczęsnego Moguljewicza stracili z oczu. Zapewne wpadł pod lód. Nie było chwili do stracenia: Schmidt i Woronicz wyskoczyli. W pół minuty później „Czeluskin” zniknął pod wodą, którą wnet zamknęły kry.

Do gromadki rozbitków, stojących bezradnie wśród worów i sprzętów, natychmiast podszedł prof. Schmidt i głosem spokojnym wydawał dalej rozkazy. Jeszcze tego samego dnia na polu lodowym stanęły namioty i barak drewniany. Zbudowano kuchnię, piecyki, zmontowano stację radiową, którą zabrano z okrętu, nadając przez nią w ostatniej chwili znany sygnał: S. O. S!

Wiść o katastrofie rozbiegła się po całym świecie znacznie szybciej, niż lotem ptaka, bo lotem radja! Natychmiast zaczęto organizować wyprawę ratunkową. Na północ podążyły okręty i samoloty. Nie spodziewano się wielkiej pomocy z okrętów w krainie, skutej lodem. Cała nadzieja oparła się na działalności lotników. Z Chabarowska wylecieli lotnicy: Wodopjanow, Doronin i Gałyszew, z Alaski Lewoniewski i Slepniew, lotnik Kuranow zdążył z zachodu, Lapidewski, Czerniawski i Konkin z Wellen (wpobliżu przylądka Dzieżniew) i cały szereg innych lotników, zaprawionych do lotów w ustawicznych mgłach i śnieżycach północy.

Loty odbywały się w warunkach okropnych. Wichury, zamiecie, mgły sprzyściły się przeciw ludziom, którzy odważnie, bez wahania usiłowali dotrzeć do okolic, najbliższych miejsca obozu rozbitków na polu lodowym.

Dnia 5 marca dotarł nad obóz rozbitków pierwszy lotnik Lapidewski.

Opowiada on tak o swoim locie:

„O godz. 23 min. 35 według czasu moskiewskiego ja, lotnik obserwator Pietrow i mechanik Rukowski wylecieliśmy na samolocie typu ANT-4 z lotniska Wellen, kierując się na przylądek Serce-Kamień do obozu Schmidta. Wskutek silnego mrozu nie mogłem lecieć w okularach i zmuszony byłem założyć specjalną maskę futrzaną. Pietrow i Rukowski zauważyli dym na horyzoncie. Zaczęliśmy lądować na przygotowanym dla nas lądowisku o powierzchni 400 × 100 metrów. Okrążam miejsce lądowania. Po dwukrotnym okrążeniu zauważyłem usłany znak z płócien namiotów w kształcie litery T, wskazujący kierunek lądowania. Wyładowałem pomyślnie. Na lotnisku zastaliśmy tylko trzech „czeluskinowców”, gdyż reszta znajdowała się w obozie, oddzielnym od lotniska wielką szczeliną, powstałą wskutek pęknięcia pola lodowego. Radość wśród rozbitków ogromna. Częstują nas gorącym kakao. Wyładujemy z samolotu zabitego jelenia, akumulatory dla radjostacji, lampy, łopaty i oskardy. Wkrótce przybywają — naczelnik ekspedycji Schmidt i inni. Po naradzie ze Schmidtem postanowiłem zabrać 10 kobiet i dwoje dzieci oraz akumulatory do naładowania. Startuję i samolot wznosi się lekko nad zwałem lodów. Biorę kurs na Wellen, gdzie ląduję szczęśliwie”.

W zwięzłym opisie lotnika wydarzenie to wygląda prosto. Nie było jednak takie spokojne, jak to wynika z innego opisu.

Rozbitkowie czekali codziennie na przylot lotników, wiedząc o próbach lotów zapomocą radjostacji. Codziennie na rozkaz Schmidta dążyły na lotnisko kobiety z dwojgiem małych dzieci: 3-letnią Alą Bujko, córeczką kierownika radjostacji na wyspie Wrangla i urodzoną na „Czeluskinie”, kiedy ten znajdował się na morzu Karskiem — Kariną Wasiljewą, która miała w lutym 6 miesięcy, córką członka stacji naukowej na wyspie Wrangla.

Lotnicy zdążyli do Wellen, gdzie był główny punkt ratunkowy, narażając się ustawicznie na śmierć wśród mgły i wichrów. Wydarzyło się kilka katastrof, na szczęście bez ofiar w ludziach. Gdyby nie doświadczenie lotników i ich zimna krew, zginąłby niejeden. Naprzykład Lewoniewski leciał bez przerwy w mgłę, w której nie widział nic. Samolot oblepiał śnieg i lód tak silnie, że tracił szybkość. Kiedy zaczął spadać, lotnik zdążył jeszcze wyrównać nieco lot i opaść na ziemię, nieznacznie tylko uszkodziwszy samolot.

W pierwszych dniach kwietnia odleciał z obozu lotnik Babuszkin na ocalonym z „Czeluskina” swym małym samolocie. 8 kwietnia dotarli do obozu lotnicy Kamanin i Mołokow. Zabrali oni pięciu członków ekspedycji, którzy zapadli poważnie na zdrowiu. Wyładował także wkrótce lotnik Slepniew. Nie mógł jednak odlecieć zpowrotem, gdyż rozpoczęła się śnieżycza. Nie trwała ona jednak długo.

Wymienionym trzem lotnikom udało się zabrać 22 osoby.

Profesor Schmidt zachował na parę dni przedtem, nie dał jednak poznać po sobie, że ma wysoką gorączkę i ledwie trzyma się na nogach. Spozstrzegł to jednak lotnik Slepniew i prosił profesora, by zasiadł w samolocie. Uczony, jako kierownik obozu, nie zgodził się. Zgodnie z przyjętymi obyczajami — jak kapitan okrętu opuszcza ostatni tonący statek, tak profesor postanowił ostatni opuścić obóz, pewny, że ocalali wszyscy. Zawiadomione władze o chorobie profesora pozwoliły mu odejść. Nie zgodził się na to.

Były to jednak ostatnie już dni tej niezwykłej przygody na polu lodowem.

Niebezpieczeństwo było co minuta większe. Lody pękały, tworzyły się groźne szczeliny. Zniszczyły one lotnisko i trzeba było oczyszczać inny kawałek pola lodowego, by nadlatujące samoloty miały gdzie lądować. Mimo tych warunków, w obozie panował porządek, choć rozbitkowie patrzyli z rozpaczą na całe połacie lodu, odrywające się i odpływające w dal. Każdej chwili mogli się spodziewać, że lód potrzaska na drobniejsze bryły, morze pochłonie namioty i ich samych. Mieli co jeść, nie było im zimno, bo sporządzili specjalne lampy i piecyki. 8-go kwietnia na pole lodowe z obozem wpadła wielka góra lodowa. Drewniany barak rozpadł się, motorowa łódź została strzaskana, zostało uszkodzone częściowo lotnisko, na którym właśnie oczekiwał pogody samolot Slepniewa. Na szczęście udało się samolot uratować.

10 kwietnia lotnicy doczekali się pogody. Tego dnia nastąpił prawdziwy szal lotów. Dokonano ich jednego dnia około 20. Lotnik Mołokow przeleciał do obozu Schmidta z Wankaren i zpowrotem sam cztery razy, zabierając 20 ludzi. Inni lotnicy: Slepniew, Kamanin zabrali wspólnie z Mołokowem 62 osoby. Zabrany też został profesor Schmidt, mający 39 i pół stopnia gorączki!

11 kwietnia odbyły się dalsze loty dzięki dobrej pogodzie. Z obozu zabrano resztę ludzi, zaprzęgnię psi, co cenniejsze narzędzia i przedmioty.

W wyprawie nie zginął nikt z wyjątkiem Moguljewicza w czasie tonięcia „Czeluskina”. Cały świat rozbrzmiewał słowami podziwu dla odwagi lotników, którzy z narażeniem życia tak nieustraszenie ratowali swych bliźnich, oczekujących przez dwa prawie miesiące ratunku na trzeszczącym i pękającym lodzie.

Profesor Schmidt, bohaterski uczony, kierownik ekspedycji, odwieziony do szpitala w Nome na Alasce, przebył groźne zapalenie płuc. W chwili, kiedy piszemy o tem, dowiadujemy się, że jest już zdrowy. Uratowani zaś członkowie ekspedycji zostaną odwiedzeni do Leningradu (dawnego Petersburga), gdzie ich oczekują około 20 czerwca.

M. Krz.



PROFESOR SCHMIDT.



Tra ta ta...

GŁOWA TYLKOĞŁOWA.

— Tra ta ta taaaa ta ta ta! Tra ta ta taaa ta ta ta! Dziw nad dziwy! Každy obejrzeć może! Ludzką, prawdziwą, żywą, mówiącą, śpiewającą głowę na stole!

Tylko głowę. Bez tułowia, bez rąk, bez nóg.

Tylko głowa i kawałek karku mówi, śpiewa w naszym Luna-Parku! Wejście dwadzieścia groszy.

Janek zapłacił dwadzieścia groszy i po schodkach wszedł do środka.

Rzeczywiście — stół, na stole głowa, a pod stołem — nic. Cztery nogi stołowe.

— Dzień dobry! — powiedział Janek.

— Dzień dobry — odpowiedziała głowa. — Ja jestem dziwna Tylkoğłowa. Powiedz mi, jakiego dnia się urodziłeś, a będę ci wróżyć.



Ja jestem dziwna Tylkogłowa.

— Ja we wróżby nie wierzę — odrzekł Janek, — a pani nie jest dziwną Tylkogłową, bo ma pani i tułów i ręce i nogi.

Ciekaw jestem tylko, jak to jest zrobione, że widać tylko głowę, a rąk i tułowia i nóg nie widać.

— Jesteś bardzo mądrym chłopcem — odrzekła Tylkogłowa. — Ja mam ręce i tułów i nogi; ale jak to jest zrobione, że ich nie widzisz, musisz domyśleć się sam. Ja ci nie powiem, boby mnie dyrektor Luna-Parku wyrzucił za zdradę jego tajemnicy.

— Będę myślał, może wymyślę — powiedział Janek. — Dowidzenia pani.

— Dowidzenia! — odrzekła stercząca na stole Tylkogłowa i uśmiechnęła się do Janka.

Janek myślał, myślał, myślał — o tak myślał:

„W kwadratowym stole wycięty był duży otwór.

Pani pewnie kłęzczała pod stołem i przez otwór wysunęła głowę.



Lustro ustawione było tak...

Dokoła szyi miała pani zapięty kołnierzyk — ten kołnierzyk leżał na stole i zasłaniał większy od szyi otwór.

Ale jak to zrobili, żeby nie było widać pani pod stołem?

Musiła być pod stołem czemś zasłonięta. No tak, ale gdyby pod stołem była jakaś zasłona, toby po pierwsze widać było tę zasłonę, po drugie, nie widać by było tylnej nogi stołowej!

Czy są takie zasłony, których nie widać? — myślał Janek.

— Są! Lustra! Lustra nie widać.

W lustrze widać tylko to, co się w niem odbija. A więc, przypuśćmy, że pod stołem zasłaniało panią lustro. W lustrze odbijała się podłoga. Czy tylko podłoga?

Aha, już wiem!

Zaraz to sobie narysuję. Lustro ustawione było tak, że odbijała się w niem i jedna noga stołowa. Bo przecież lustro zasłaniało jedną nogę, a ja widziałem wyraźnie cztery”.

Myślał, myślał i dobrze wymyślił.

O POLOWANIU NA FOKI I PRZYGODACH MAŁEGO, ESKIMOSA.

5)

Napisała Marja Niemierowska.

— E, — odpowiedział Kotik, — uganiać się tak za jedną rybą wcale mi się nie chce. Więcej się zmęczę, niż się najem. My sobie poszukamy takiego dużego stada ryb, gdzie tysiąc ryb i więcej razem płynię.

Kotik dał nurka, a Małec za jego przykładem i póty pływali, póty szukali, aż zobaczyli w wodzie całą chmarę jednakowych ryb, które gdzieś gromadą płynęły. Ostrożnie, żeby ich nie płoszyć, podpłynęli do nich z tyłu i — hap, hap, hap! jedną rybę po drugiej chwyтали. Gromada ryb spostrzegła, że nieprzyjaciel je goni i co sił zaczęła umykać, ale Kotik z Małcem póty im następowali na ogony, póki nie poczuli się tak najedzeni, jakby im brzuszki pęknąć miały.

Potem foki wróciły na powierzchnię wody i, huśtając się na falach, odpoczywały po trudach polowania.

— Czy ty się nikogo nie boisz, Kotiku, na oceanie? — zapytał Małec.

— Owszem, gapiu drogi, są wielkie ryby, przed którymi uciekam. Pamiętaj, Mały, zmykaj zawsze przed rekinem, poza tem przed rybą o łbie, jak młot. Dla młodych fok prócz tych ryb niebezpieczne są wieloryby. Ale najbardziej wystrzegaj się okrętów, statków i ludzi.

— Ach! — westchnął ciężko Kotik — ludzie są bardzo niedobrzy dla fok. Niech tylko foka bliżej do ludzi podpłynię, zaraz ją zabijają.

Na tem zakończyli poobiednią pogawędkę i rozpoczęli zabawę. Pluskali się, parskali, gonili. Kotik pokazywał Małcowi, jak się dęba nad wodą na ogonie staje.

Któregoś dnia Małec zauważył wpobliżu na morzu jakieś stworzenie, do fok podobne, ale nie takie, jak on i Kotik, a żółto-szare, w ciemne plamy.

— Kotiku! — zawołał. — Czy nie lepiej uciekać? Spójrz, tam płyną jakieś duże stworzenia.

Kotik obejrzał się i parsknął śmiechem:

— Ależ to też są foki, mój drogi. To nasze dalekie kuzynki. My mamy dużo krewnych: foki w kapturach, które potrafią swój nos, jak balon, nadymać; foki-morsy o białych, długich kłach, wcale nie brzydszych, niż kły słoniowe — i dużo innych jeszcze.

— Szczęśliwej drogi! — krzyknął Kotik swoim kuzynkom.

— Nawzajem! — odpowiedziały.

Wiele dni i miesięcy pływali Kotik i Małec po oceanie.

W dnię piękne, pogodne, morze się ledwo marszczyło, jak jedwab lśniący w słońcu.

Czasami zdarzały się burze i morze było złe, rzucało się gniew-

nie, pluło pianą i podnosiło się w wielkie fale, jak domy. Wówczas Kotik i Malec umykali przed burzą gdzieś dalej przed siebie, na spokojniejsze wody, lub nurkowali na głębiny, gdzie było cicho i spokojnie.

Codzień Malec widział coś nowego, coś ciekawego. Widział wyspy zielone, jak bukiety rzucone na morze, okręty przepływające wod-dali. A w wodzie i na dnie oceanu oglądał przedziwne ryby, stworzonka i morskie rośliny.

Pewnego dnia Kotik zapytał Malca:

— Czy pamiętasz tę zimną wyspę, gdzieśmy się spotkali? Czuję, że tam musi być teraz wiosna, lody dookoła wyspy pękają i śnieg topnieje. Poznaje po słońcu i z wiatru, że to już miesiąc marzec. Czas na nas wracać.

I Kotik z Malcem zawrócili i popłynęli na północ, w stronę zimnej wyspy.

— Już dość mam tego pluskania się w wodzie — mówił Kotik. — Chciałbym jak najpędzej dopłynąć do północnego oceanu, gdzie teraz jest ciepło, wyjść z wody na brzeg wyspy i wylegiwać się na piasku, i dzień i noc na słońcu.

Płynęli ostro i długo, niemal bez wypoczynku we dnie i w nocy, tak im było pilno do wyspy. I coraz więcej spotykali fok, które w tę samą stronę dążyły.

— Czy one też tam, gdzie i my, płyną? — pytał Malec.

— Ależ tak — odpowiedział Kotik. — Czy nie wiesz, że wszystkie czarne, aksamitne foki mają w tych zimnych stronach swoje ukochane wyspy, dokąd gromadą, jak do domu, wracają i całe lato na brzegu tych wysp wypoczywają?

Wreszcie Kotik i Malec zaczęli spotykać na swej drodze góry lodu, pływające po morzu.

— To znak, że już blisko! — cieszył się Kotik.

Niedługo potem dojrzeli wyspę, ukochaną wyspę Kotika, a im bliżej byli wyspy, tem większy było słycać ryk i hałas.

— Co to za hałas? — dziwił się Malec. — Przecież to nie morze tak ryczy, bo dziś jest spokojnie.

— To foki, mój Mały, tak hałasują. Szczekają, ryczą z radości, że na swoją wyspę wróciły. I walczą ze sobą, przypatrz się.

Malec widział na brzegu nie stado, nie tysiąc, ale dużo tysięcy fok. Aż czarno było od nich na piasku i na skałach. Niektóre wielkie, siwe foki gryzły się zawzięcie.

— Widzisz, — tłumaczył Malcowi Kotik — te duże, szare, siwe foki, to ojcowie. Oni tu pierwsi przyplnęli. Każdy ojciec wybrał sobie na brzegu wygodne miejsce dla siebie i swojej rodziny i czeka, żeby mama-foka przyplnęła. Patrz, ten siwy ojciec, co z wody wyłazi, spóźnił się i chce miejsce na brzegu zająć. „Nie pchaj się, idź sobie” — ryczą na niego gniewnie inni ojcowie, „to nasze miejsca, myśmy je wcześniej zajęli” — i już się biją i gryzą.

Dokończenie nastąpi.



Gromada ryb spostrzegła, że nieprzyjaciel je goni...

PROSIAK ZOSI - KONKURSISTKI.

Prosiak, otrzymany przez Zosię, pochodził z dobrego gniazda.

Nie umywały się do niego ani ta prościucha Kłapoucha pani Bartoszowej z przeciwka, ani ten od pani Szymonowej.

Grzbiet miał równy, łopatki, jak ulane, nie zapadnięte, żebra zaokrąglone, ryj szeroki, nogi, jak piony, ogon wysoko osadzony.

Nawet ojciec Zosi, zły na te konkursy, uśmiechnął się z zadowoleniem i poklepał prosiaka po łędźwiach.

— Ładna sztuka — mruknął, — takiej w naszej zagrodzie dotychczas nie było.

— A widzi ojciec! — klasnęła w dłonie Zosia.

— No, no, jeszcze niewiele widzę — odparł niewierny, jak Tomasz, ojciec. — Świnia dziś żyje, a jutro może zachorować i zdechnąć, a złodziei to mało na świecie! Zakradnie się taki w nocy i uprowadzi.

— Co do choroby — odpowiedziała żywo Zosia — to niema obawy, prosiak jest szczepiony na różycę, a trychiny i solitera nie dostanie, bo przecież w brudach go trzymać nie będę. A od złodziei też go ustrzec potrafię.

— No, no, zobaczymy — pokiwał głową ojciec i, zapaliwszy fajeczkę, ruszył zwolna ku wrotom zagrody.

W tym momencie wybiegła z za krzaka malin Alinka i rzuciła się na szyję prosiakowi...

— Ciaciuś, Ciaciuś — szeptała czule. — Będziemy wołali „Ciaciuś”, dobrze, Zosiu?

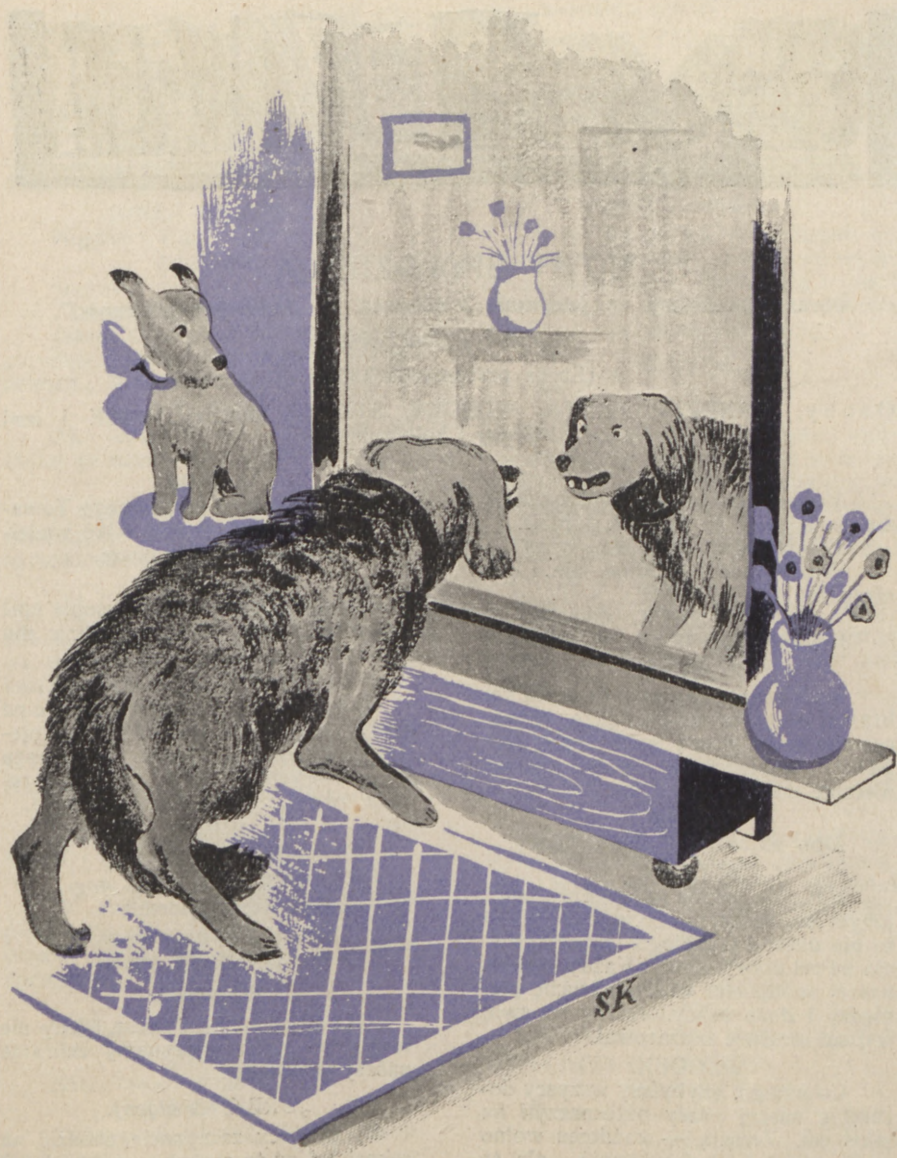
— Dobrze, dobrze — zgodziła się Zosia, którą jednakże ostatnie słowa ojca wielce zafrasowały.

— A co będzie w samej rzeczy, jak prosiaka ukradną? — westchnęła cicho. — Przecież był taki wypadek w sąsiedniej wiosce...

J. Betcikowski.



PROSIACZKI.



KTO SKOŃCZY TĘ POWIASTKĘ?

Mały Bielasek już od roku jest u państwa Wolskich. Czasem przychodzi do pokoju, gdzie stoi duże lustro i z upodobaniem przygląda się swemu odbiciu.

Wczoraj państwo Wolscy kupili nowego psa, dużego Brytana, żeby pilnował podwórza. Brytan zakradł się do pokoju, w którym było lustro

A teraz, Czytelnicy, sami skończcie tę powiastkę!



NOWY SPÓŁDZIELCA.

Obrazek sceniczny do odegrania 3 czerwca, w „Dniu Spółdzielczości”.

Napisata J. Duszyńska.

(Scena przedstawia klasę).

Osoby: WANDZIA, MARTA, WŁODEK, STEFAN, później JUREK i inni koledzy i koleżanki.

WŁODEK.

Ale wiecie... ja sam nigdybym się nie spodziewał, że nam tak pójdzie.

STEFAN (*który wygląda oknem*).

Pracowaliśmy solidnie, ale i poszczęściło się.

WŁODEK.

Nie-by-wa-le!

WANDA.

Mam ochotę zaproponować na zebraniu, żeby za te pieniądze, zapracowane przez naszą spółdzielnię, wyjechali najbiedniejsi, choćby niekoniernie członkowie.

MARTA.

Albo najbardziej potrzebujący.

STEFAN.

Hm... to pięknie pomyślane... ale... ja bym się raczej sprzeciwił. Przecież to nie dochód z jakiegoś przedstawienia na cel dobroczynny! Każdy członek naszej spółdzielni włożył i trochę pieniędzy i dużo pracy. Każdy na swój wyjazd uczciwie zapracował.

WŁODEK.

Co innego, gdybyśmy wszyscy dochód z naszej pracy przeznaczyli na jakiś cel. Zresztą — każdemu wolno swój udział komuś odstąpić... ale to już sprawa osobista.

STEFAN.

Ho-ho! wiecie kto idzie? Jurek!

MARTA.

Nie może być? Na zebranie?

WŁODEK.

Przecież nie jest członkiem.

WANDA.

O, ja bym tego niewiernego Tomaszka nie wpuściła! Będzie tylko wydziwiał i kpinkował, jak zawsze.

MARTA.

A ja przeciwnie! Niech sobie kpi! Rezultaty naszej pracy zamkną mu usta.

WŁODEK.

Nie-by-wa-le rezultaty! (*Śpiewa na nutę: „Pojedźmy na łów”*). „Pojedźmy nad morze, morze, towarzyszu mój!”... Pycha! (*Staje nagle na rękach, równocześnie wchodzi Jurek*).

JUREK.

Niema tu Włodka?

WŁODEK (*stając na nogi*).

Jestem. Czego chcesz?

JUREK (*zdenerwowany*).

Chodź ze mną na kajak!

WŁODEK.

Na kajak!... Ee... wiesz, kiedy nie mogę, bo zaraz zaczynamy zebranie naszej spółdzielni.

JUREK (*drwiąco*).

I wszyscy zaczynacie chodzić na rękach? Czy to cyrkowa spółdzielnia? Czy stara klapnęła?

WANDA (*porywczo*).

Cyrkową sam sobie załóż, będziesz w niej blaznem od strojenia min... (*MARTA stara się ją pohamować*). A nasza spółdzielnia zarobiła na wycieczkę nad morze!

JUREK.

Co? Co? (*unosí się*). Nie rób głupich żartów, bo...

WŁODEK.

Ależ ona nie żartuje...

STEFAN.

Co ci się stało? Jedziemy naprawdę i to do tej samej miejscowości, dokąd ty się wybierasz.

JUREK (*szorstko*).

Nigdzie się nie wybieram!

WŁODEK.

Jakto?

JUREK.

Jakto? Ojcu nie przyjęli tej roboty, co wiesz... wobec tego nigdzie nie jedziemy... No, idziesz na kajak?

WŁODEK.

Aj, Jurku, Jurku... Czemuś nie chciał do naszej spółdzielni należeć?

JUREK.

A ty znowu ze swoją spółdzielnią! Myślisz, że uwierzę w nadzwyczajne zarobki waszych sklepików?

STEFAN.

Nie mówimy o sklepiku, bo on tak tanio sprzedaje, że ledwo zarobi na prenumeratę „Piomyka” i trochę książek. Ale nasze zioła lecarskie...

JUREK (*przerywa*).

Bujda! Uzbierałem kiedyś worek krwawniku i dostałem całe 20 groszy. Ha... ha... ha...

MARTA.

Trzeba wiedzieć, co hodować, jak suszyć i gdzie sprzedać.

STEFAN.

W zimie robiliśmy prócz tego piękne pisanki. Do samej Warszawy poszło ponad 400 sztuk i wszystkie sprzedano. Dużo zarobiliśmy.

WŁODEK.

Nie-by-wa-le!

JUREK.

Nie... zwodzicie mnie?

WANDA.

Zajrzyj do ksiąg naszej spółdzielni.

WŁODEK.

Najlepiej zostań na zebraniu. Właśnie będziemy omawiali tę wycieczkę.

Koniec.

Uzyskaliśmy duże ulgi, bo dla gromady o wszystko łatwiej.

STEFAN.

Rzeczywiście zostań.

JUREK.

A przyjmiecie mnie na członka?

WŁODEK i STEFAN.

Chcesz? Naprawdę?... Wiwat!

JUREK (*porywczo*).

A ty, Wanda, nie potrzebujesz się uśmiechać! Myślisz, że chcę się wkręcić na wycieczkę? Bardzo się mylisz! Nie włożyłem udziału, nie pracowałem z wami — nic mi się nie należy.

WANDA.

Ale...

JUREK.

Chcę zostać członkiem waszej spółdzielni, bo przekonałście mnie, że robicie coś naprawdę. Myślałem, że po tygodniu wam się znudzi, a po miesiącu pokłócicie się, a wogóle, że nie nie zrobicie i już. Pomyliłem się.

WANDA.

Ślicznie. A ponieważ ja muszę wyjechać do babci i odstępuję swoje miejsce, więc pojedziesz za mnie nad morze.

JUREK.

Nie chcę!

WŁODEK.

Nie-by-wa-le!

WANDA.

Myślisz, że to tak na zachętę? Cukierek dziadusiowi, że się chce poprawić? Wcale nie. Pojedziesz, bo jesteś bardzo mizerny, a spółdzielnia dba o wszystkich swoich.

MARTA.

A ty już jesteś nasz!

WANDA.

Spółdzielczość to wszyscy za jednego i jeden za wszystkich.

WSZYSCY.

Brawo, Wanda!

WANDA.

Niech żyje praca spółdzielcza!

WSZYSCY.

Niech żyje!

UWAGA: Obrazek można zakończyć chóralnym odśpiewaniem hymnu spółdzielczego. W czasie akcji może napłynąć więcej dzieci na scenę, jakgdyby nadciągały na mające się zacząć zebranie.

I MY BĘDZIEMY SPÓŁDZIELCAMI.

Rozmowa kolegów z sąsiednich szkół.

Napisata Anna Świrszczyńska.

(Scena przedstawia ogródek miejski).

WITEK *siedzi na ławce, przeciągając się, ziewa. Nadchodzi PAWELEK.*

WITEK.

Aaaa...

PAWELEK.

Co tak ziewasz?

WITEK.

Nudzi mi się.

PAWELEK.

Ha, ha, ha, pokaż się, niech zobaczą, jak wygląda młodzieniec, który się nudzi!

WITEK.

Nie żartuj! Co tam masz pod pachą?

PAWELEK.

„Ogniem i Mieczem”.

WITEK.

No, żebym miał taką książkę i ja-bym się nie nudził.

PAWELEK.

Jakto? Nie macie biblioteki?

WITEK.

E, jest czterdzieści książek. Znam je już nawyrywki!

PAWELEK.

My posiadamy sześćset tomów.

WITEK.

Fiu, fiu!

PAWELEK.

No, ale ja i takbym się nie nudził. Słuchałbym radja — dzisiaj np. będzie Kiepura z płyt, albo poszedłbym na łódkę.

WITEK.

E, przestań kpić.

PAWELEK.

Albo co?

WITEK.

My nie mamy w szkole ani radja, ani łódki.

PAWELEK.

No wiesz, dziwię się, jak wy tam gospodarujecie?

WITEK.

Ja się jeszcze bardziej dziwię, skąd wy bierzecie pieniądze na to wszystko: łódka, głośnik i biblioteka!

PAWELEK.

Ach, gapo, przecież mamy spółdzielnię — prowadzimy parę lat sklepik, a to daje dochody. Teraz każda szkoła może mieć własne pieniądze, chyba, że nie chce.

WITEK.

Tak, słyszałem, ale u nas...

PAWELEK.

E, u was tam wogóle same niedołągi — klub ziewających rycerzy i śpiących królówien. Siedzi to jak trusia, ani me, ani be. Ciepłe kluski! U nas zato, proszę pana, praca, ruch, ho-ho!

WITEK.

Ale! Kiedy taki sklepik to trudno założyć i do tego samym...

PAWELEK.

Właśnie w tem sęk, że nikt nie pomaga! Żebyś wiedział, co to za radość, jak tak wszystko dobrze idzie, tak się w rękach rozrasta — a to przecież nasze od *a* do *zet*!

WITEK.

Wiem, zazdroścuję wam.

PAWELEK.

Pewnie! Mamy sklep, kasę pożyczkową, koło historyków, przyrodnicze, krajoznawcze, urządzamy koncerty, zabawy wycieczki.

WITEK.

To u was wesoło. A u nas — nic się jakoś nie dzieje. Każdy chodzi samopas i nudzi się. Pogadam o tem w klasie.

PAWELEK.

Wiesz, spróbuj!

WITEK.

Żebyś już nie mógł powiedzieć o nas: ot, niedołągi!

Radzimy Wam zainscenizować powyższą rozmowę dn. 3.VI, w „Dniu Spółdzielczości”.



PAMIĘTNIK CHIŃSKI

36)

Spisała Ebrem.

— O tak! Wierzę i kocham Go bardzo!

— Więc pójdz do misji, poproś, żeby cię tam wyegzaminowali i chrztu ci udzielili, a wówczas będziesz również szczęśliwy, jak i ja.

— Myślałem już o tem nieraz, panno Lucyno, odkąd dzięki tobie poznałem życie i naukę prawdziwego Boga. Gorąco pożądam chrztu. Obawiam się jednak, że rodzice moi będą temu przeciwni. Wolałbym, żeby się to stało za ich zgodą. Będę pracował nad tem, żeby ich nakłonić.

— A ja będę się modliła o to. I ty także módl się, Juanie, bo od Boga wszystko zależy.

W tym czasie państwo moi odwiedzili parokrotnie dom bogatego jednego mandaryna i mnie zabrali ze sobą jako tłumaczkę. Posiadał on rzeczywiście bardzo piękny pałac, a właściwie kilka pałacyków, stojących przy sobie. Przy nich roztaczał się wspaniały ogród. Część zajmowały karłowate drzewa owocowe, inne służyły tylko dla cienia i zwisały się nad strumykami i stawami, przez które przerzucane były małe, różnokształtne mostki. Wznosiły się też w ogrodzie okrągłe altanki z podwójnym wygiętym dachem, z rzeźbionymi ozdobami i ramami okien. Niektóre z tych okien zrobione były z perłowej masy. W większych altankach znajdowały się piękne meble z czarnego, polituowanego drzewa i rodzaj firanek ze szkarłatnego, haftowanego jedwabiu. Podziwiałam zręczność ogrodników chińskich w nadawaniu drzewom i krzakom kształtów rozmaitych przedmiotów: były tam więc wyobrażone rozmaite ryby, ptaki, części ubrania, nawet postacie ludzkie, u których brakujące części uzupełniane były dodatkami z porcelany.

Było też mnóstwo kwiatów: róż, kamelij, złocieni, a nadewszystko narcyzów, szczególnie poszukiwanych podczas świąt Nowego Roku, najdłuższych i najważniejszych. Hodują je przeważnie nie w gruncie, a w naczyniach, rzędami ustawionych wzdłuż chodników. Po ogrodzie przechadzały się jelenie i pawie.

Opowiadając potem o tych odwiedzinach Juanowi, zapytywałam, czy potrafiłby podobnie ukształtować rośliny.

— Czemu nie? — odpowiedział. — Uczyłem się tego. Nie jest to nic trudnego, trzeba tylko cierpliwości. Chciałbym dostać miejsce u tego mandaryna.

Postanowiłam użyć pośrednictwa Bożenki, aby pan Pomieński zechciał prosić mandaryna o przyjęcie Juana do grona swoich pracowników. Mandaryn zgodził się uprzejmie, a po pewnym czasie, zadowolony z pilności i roztropności młodego ogrodnika, dał mu miejsce stałe. Juan z wielką radością przybiegł oznajmić mi o tem.

— Pan Lihungczan — rzekł — dał mi nawet do zrozumienia, że zczasem, po śmierci głównego ogrodnika, który już jest stary, będę mógł zająć jego miejsce. Ale i tymczasem, chwała Bogu! zdaje się, że moi rodzice będą mieli zapewniony spokój do śmierci, a nawet i ja o własnem szczęściu pomyśleć mogę.

Posłuchaj mnie łaskawie, panno Lucyno. Wiem, że przewyższasz mnie o wiele nauką i wychowaniem, które teraz odbierasz. Znajdziesz zapewne, albo znajdą ci twoi opiekunowie męża bardziej wykształconego i z wyższem ode mnie stanowiskiem, ale nie znajdą z pewnością takiego, któryby cię więcej ode mnie kochał i szanował. Zgódź się na zostanie moją żoną. Rodzice zgodzą się teraz może łatwiej, żebym chrzest przyjął. Będziemy razem czcić Pana Jezusa i służyć mu życiem bogobojnem.

Słuchałam go zadziwiona. Jakkolwiek kończyłam już lat siedemnaście, możliwość małżeństwa nigdy mi jakoś nie przyszła do głowy, tembardziej małżeństwa z Juanem, o którym myślałam tylko jako o drogim mi uczniu i rodaku. Jednakże słowa jego przejęły mnie dziwną jakąś radością. Tak błogo jest czuć się kochanym! A przytem ja przecież nikogo swego nie miałam teraz na świecie.

— Ale ty nie wiesz, Juanie — zauważyłam, — czy rodzice twoi zechcą przyjąć mię za synowę.

— Dlaczegożby nie mieli chcieć? Jesteś piękna, i dobra, i mądra. Rzecz tylko w tem, czy ty chcesz.

— Ja odpowiem ci jutro, po zastanowieniu — odrzekłam.

Rozwaga jest zaletą bardzo w Chinach cenioną, więc Juanowi moja odpowiedź wydała się stwierdzeniem mądrości, którą mi przypisywał. Odszedł, a ja pograżyłam się w myślach, trochę niepewna, ale coraz bardziej radosna.

Dalszy ciąg nastąpi.

LEL I POLEL.

14)

Napisał J. Warta-Przewłocki.

— O łaskę cię prosić, kneziu... — rzekł Lel.

— I o przyjęcie na dworzyszczce twoje, abyśmy mogli wojować z wrogami twoimi... — dodał Polel.

Uśmiechnął się Lech nieznacznie i przebiegł czarnemi oczyma po obu witezich.

— Ażali macie ćwiczenie bojowe? — zapytał.

— Chodziliśmy na dziki i niedźwiedzie w pojedynkę — odparł z dumą Lel.



Rys. Girs-Barcz.

— Przystąpcie bliżej...

— Bijaliśmy tury ogromne i wszelką dziką zwierzynę, ale w bojach udziału nie braliśmy — szepnął skromnie Polel.

— Ale ćwiczenie bojowe znamy — podjął gorąco Lel. — Umiemy władać kuszą, toporem i mieczem...

Lech patrzył przyjaźnie na obu braci i uśmiechał się, jak ojciec uśmiecha się na widok krewkich synów.

— Przystąpcie bliżej...

Obadwaj witezie stanęli tuż przed kneziem.

— Jak cię wołają w domu? — zapytał Lela.

— Lel...

— A ciebie? — rzekł, zwracając się do młodszego.

— Polel, jako iż po bracie się urodziłem...

— Bliźniakami jesteście?

— Tak, kneziu, jeno Lel urodził się pierwej, ale tegoż samego dnia...

— Ilu was rodzic ma? — pytał rozweselony Lech.

— Dwóch jeno, gdyż reszta to dziewczki — odpowiedział Polel.

— I obu mi was przysyła?

— Sami radziby poszli, bo ich oskoma brała na bój, ale że starzy są i godne roki już mają, przeto ostali, nam przykazawszy dobrze się sprawić...

— Godnego rodzica macie — przyświadczył kneź, — więc was przyjmę, a sposobności do boju przy mnie wam nie zbraknie. Broń otrzymacie inakszą, niżli ta, którą macie... i szczyty i miecze...

Obruszyli się witezie i spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

— Wybaczcie, kneziu — rzekł Lel nieśmiało, — ale szczyt, który noszę i miecz, co brat mój go dzierży, boskiego są pochodzenia. Otrzymaliśmy te dary od starca Miłogosta, co pod świętą Łysą Górą ma kleć swoją, i postanowiliśmy nikomu jej nie oddać...

— Pokażcie mi szczyt i miecz — rozkazał Lech.

Witezie podali kneziowi tarczę ogromną i miecz dwusieczny. Oglądał broń i dziwował jej się wielce, gdyż była niezwykłego kształtu i ciężaru.

— Ażali udolisz, Lelu, obracać tym szczytem, a ty ciąć tym mieczem? Siły na to potra wielkiej.

— Krzepkość mamy obadwaj i nieprędko się ręce nasze zmachają... — odparł Polel.

— Tem ci lepiej! — rzekł kneź. — A jacyście krzepcy, to się wnet sprawdzi. Broń swoją zatrzymajcie. Spocznijcie pośród moich witeziów i bądźcie dobrej myśli.

— Dzięki ci, kneziu!

Pokłonili się bracia i uradowani odeszli.

Dalszy ciąg nastąpi.

UCZ SIĘ JĘZYKA ESPERANTO!

LEKCJA XXVI.

SŁOWOTWÓRSTWO. Skończyliśmy najważniejsze reguły gramatyki, wobec czego czas nam się wziąć teraz pilnie za słowotwórstwo — bo to i łatwiejsze i ciekawsze. Któreż z dzieci nie chciałoby samo coś stworzyć? A w Esperancie olbrzymią część całego języka można sobie utworzyć samemu. Więc — zaczynamy:

Końcówki słowotwórcze czyli tak zwane „przyrostki” IN, ID, ET, EG, AĈ oraz „przedrostki” MAL znamy już z lekcyj: 3, 4 i 18-ej, dziś poznamy nowe dwa: przyrostki: 1) ĈJ i 2) NJ oraz przedrostek 3) PRA.

Co one wszystkie oznaczają, zaraz zobaczycie:

1) Adam po esperancku „Adamo”, Adaś — *Adaĉjo*; Piotr — *Petro*, Piotruś — *Peĉjo*; Jan — *Johano*, Janek — *Johanĉjo*, Janeczek, Jasiiek, Jasieczek — *Joĉjo*.

2) Marja — *Mario*, Marysia, Maryśka, Marynia — *Marinjo*; Zofja — *Zofio*, Zośka, — *Zofinjo*, Zosieńka — *Zonjo*.

Z tego reguła: *Męskie* imiona zdrobniate przyjmują końcówkę „ĉj” a żeńskie „nj”, przyczem słowa te zwykle się w pierwiastku skraca: im większe skrócenie, tem większe przymilenie. To jest łatwe — nieprawdaż? Któżby bowiem nie lubił takich miłych słówek, jak Adaś, Zosieńka, Marysienka? — *Adaĉjo*, *Zofinjo*, *Marinjo*, *Manjo*?

Tak samo łatwe jest trzecie słówko:

3) PRA, bo jest wzięte do Esperanta z naszego języka polskiego i znaczy to samo, co po polsku, a więc: dziadek — *avo*, pradziadek — *praavo* (to znaczy ojciec dziadka). Las — *arbaro*, las odwiedzny czyli dziewiczy — *praarbaro*. Ojcowie — *patroj*, praojcowie — *prapatroj* i t. d.

ĆWICZENIE: 1) Moja mamusia nazywa mnie Józkiem, ale ja jestem Józefem: MIA PATRINJO NOMAS MIN JOZEFĈJO, SED MI ESTAS JOZEFO. 2) VIA PRAAVO NOMICIS LUDOVICO KAJ LA PRAAVINO — LUDOVIKINO, SED NI NOMIS ILIN LUCĴJO KAJ LUNJO: Nasz pradziadek nazywał się Ludwik a prababka — Ludwika, lecz my nazywamy ich Luciem i Lunią.

O F I A R Y.

NA FUNDUSZ BRATNIEJ POMOCY ZWIĄZKU LEGJONISTÓW.

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych P. Krantz Mieczysław z Końskich — 2 zł.

NA ŚWIĘCONE DLA DZIECI BEZROBOTNYCH.

Maryś Jabłoński — 1 zł.

DLA CHOREGO STASIA.

Od Z. C. — 5 zł.

WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1933/34:

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JOZEF WŁODARSKI.
Redaktorka — HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny — MICHAŁ BYLINA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.

РЛОМУК



KAPLICZKA.